

Kronika tygodniowa.

Odkąd w naszym społeczeństwie zaaklimatyzowało się życie kawiarniane, dawniej u nas nieznane, odtąd nastąpiły zwyczaje dawniej dla nas obce. Do nich zaliczam w pierwszym rzędzie tak zwany wieczór Sylwestrowy, czyli zakończenie starego roku.

Ojcowie nasi obchodzili zakończenie starego roku w ten sposób, iż szli do kościoła aby podziękować Panu Bogu, że jakoś go przeżyli i prosili, by następny był lepszy i pomyślniejszy od poprzednika, młode pokolenie wita Nowy Rok w kawiarni, przy huku... korków szampanowych.

Może to zresztą i słuszne!... Nie wszyscy powinni się smuć. Gdy jedni, gdzieś tam daleko od swoich, w rowach strzeleckich, zmianę roku obchodzą przy odgłosie armat i karabinów maszynowych, jest może wskazane, by ci, którzy zostali w „Hinterlandzie“, a stać ich na to, nie mogąc inaczej, zamysłowali sobie przejścia tamtych bodaj przy pomocy... szampana!...

Jeśli krakowska publiczność, która w nocy z 31. grudnia na 1. stycznia tak się pięknie bawiła, wychodziło z tej zasady, kronikarz nie ma nic więcej do powiedzenia, ale chciałby tylko zadać jedno, jedyne pytanie: „Ile też ci, którzy w noc ową wyrzucili na marne setki, złożyli na cele Komitetu Książęco-Biskupiego, którego tydzień kończył się w tym właśnie dniu?“

Odpowiedź byłaby w każdym razie bardzo ciekawą. Jestem pewny, że tu i ówdzie odezwały się głosy, nawet oburzenia:

— O!... Proszę pana!... Ja dałem całą koronę!... Mam nawet znaczek, który schowałem na rok przyszły, gdyby na nim nie było napisane „1917“...

A pamiętać trzeba, że ów Komitet Książęco-Biskupi to instytucja, jakiej drugiej nie znajdziesz chyba, która tysiącom biedaków w najkrytyczniejszym czasie pospieszyła z wydatną pomocą, a wreszcie odwołać się musiała znowu do ofiarności publicznej, gdyż jej zapasy zupełnie się wyczerpały.

I popłynęły, co prawda składki na cel tak wzniosły, ale w żadnym nie stoją one stosunku do tej kwoty, jaką wydano na marne, właśnie w ów wieczór Sylwestrowy. Każdy, kto dał na cele Komitetu koronę, miał spokojne sumienie, choć w tym samym czasie zaniósł Bakchusowi na ofiarę setki koron.

Narzekamy na ciężkie czasy, ale widocznie nie są one tak ciężkie, skoro nam szumią jedwabie i strzelają szampańskie butelki! Może tam ten i ów, któremu rok 1917. dał się we znaki, chciał w samej rzeczy „zalać zgryza“ i dlatego dał folę swej szerokiej naturze, powinien jednak być pamiętać, że nieszczęśliwszych, biedniejszych i bardziej od niego potrzebujących jest więcej i że o nich najpierw pomyśleć należało.

I gdy w noc Sylwestrową w niektórych krakowskich restauracjach i kawiarniach lał się szampan strumieniem, w wielu bardzo domach, dawniej nawet uchodzących za dość zamożne, zastanawiano się z boleścią nad tem, co też dać jutro dzieciom na śniadanie...

Zdaje mi się, że daleko piękniejszym pożegnaniem starego roku i powitaniem nowego byłoby, gdyby ogół właśnie w noc Sylwestrową wstrzymał się był od tych hałaśnych zabaw, nie liczących bynajmniej z powagą chwili. W dniu tym należało raczej urządzić „dzień wstrzemięźliwości“, a pieniądze w ten sposób oszczędzone przeznaczyć na jakiś cel ogólny, w danym wypadku na Komitet Książęco-Biskupi, zasługujący na to ze wszelkimi.

B.ć może, że ktoś zarzuci kronikarzowi, że i on w tej zabawie brał udział, skoro wie o tem. Pomyli się jednak, gdyż to, o czem piszę, wyczytałem przede wszystkim w dziennikach, zapowiadających głośno gdzie się w tym dniu można zabawić a o rezultacie zabaw dowiedziałem się od uczestników. Z pewnem zadowoleniem stwierdzić też muszę, iż gros ich stanowili różni dostawcy i spekulanci, którzy Nowy Rok obchodzili zwykłym we wrześniu, nie zaś w styczniu. Ci tegniali stary rok z zupełnie uzasadnionym żalem, a witali nowy w tej nadziei, że będzie dla nich tak łaskawy jak poprzedni.

Ale takich szczęśliwców jest stosunkowo bardzo mało i dlatego taki huczny Sylwester, zwłaszcza w tym roku, gdy setki ludzi z głodu poprostu ginie, był nie na miejscu i w stosunkach naszych stanowił zupełnie niepotrzebny dyssonan.

Ktoś się tam znowu może znajdzie, kto zarzuci kronikarzowi, że jest zbyt pesymistycznie usposobiony, ale ogół, tak przynajmniej przypuszczam, przyzna mi rację. Ogółu także winić nie można, bo ogół ten pod brzemieniem wojny ledwie дышы, ale tylko poszczególnie jednostki, w gęście tych, o których już przedtem pisałem.

Są to osobniki, żyjące tylko z dnia na dzień, prze-ważnie pasorzyty, tuczące się cudzą krzywdą, a starając się zaimponować światu, co to oni znaczą, skoro mogą sobie na coś podobnego pozwolić. Ale też wielu takich panów spędza jednego Sylwestra w kawiarni, a następnego w... kryminale, co nie jest znowu tak wielką różnicą, skoro oba te wyrazy od jednej i tej samej litery się zaczynają.

Aby tym smutnym refleksjom dać już spokój, przechodzę do sprawozdania, w jaki sposób spędziłem ów krytyczny wieczór i dzień Nowego Roku. a czynię to jedynie dlatego, by autor, który kiedyś zabierze się znowu do pisania „Żywota pocziwego człowieka“ miał już gotowy materiał pod ręką.

Sylwestrowy wieczór zastał mnie w domu, w pokoju ogrzany, a nawet oświetlonym, co na obecne stosunki mogłoby być policzonem za zbytek. Poświęciłem go na reminiscencye dziejów całego roku i obliczanie wojennych zysków, które, niestety, zredukować muszę do zupełnie okrągłego zera. Mam przynajmniej tę przyjemność, że mi od niego nie wymierzą podatku. Przy tej sposobności doszedłem do przekonania, że rok 1917. był w samej rzeczy „pod psem“ i że s. p. pani Thóbes miała rację, jeśli tak utrzymywała. Jeśli mówiła inaczej, to już nie moja wina, ale jej własna i prawdopodobnie dlatego umarła, a ja jeszcze żyję.

W noc ową spałem doskonale, gdyż nocną porą gratulanci u nas jeszcze nie grasują, ale zato już od siódmej rano zająłem miejsce przy drzwiach, by każdemu niepożądanemu „gościowi“ oświadczyć, że „państwo wyjechało“, wobec czego można się zgłosić na przyszły rok. Swoją drogą, przyznać muszę, usłyszałem zupełnie gratis tyle życzeń, że gdyby bodaj jedna dziesiąta, albo nawet i setna ich część miała się spełnić, z pewnością nie należałbym już dziś do zjadaczy wojennego chleba.

Kto bowiem nie życzy ci w Nowy Rok! Życzą wszyscy i każdy z osobna, a przedewszystkiem ci, którzy do życzenia żadnej podstawy nie mają, a każdy żąda, aby im za to podziękować ręką, to jest włożyć ją do kieszeni i wyjąć coś stamtąd. A włożyć łatwo, ale wyjąć nieco trudniej, wobec czego najwygodniej i najpraktyczniej jest zachować ściśle incognito, to jest wyjechać na ten dzień, dajmy na to do Zakopanego.

Wyjątek z ogólnej reguły zrobić musiałem dla cerbera domowego i listonosza pieniężnego, by go sobie nie zrazić, moja zaściana połowica, jako kapłanka rodzinnego ogniska, przyjęła na specjalnej audyencji kominiarza, polecając swój komin jego całorocznej opiece.

Państwo stróżostwo zjawili się obydwójce, wygłaszając swe stereotypowe życzenia, w których jest mowa o „fortunie i koronie“, otrzymali też w zamian za nie całą papierową koronę, co im się widocznie nie podobało.

Ponieważ on jest w chwilach wolnych od zajęć urzędowych także i robotnikiem w Zakładzie czyszczenia miasta i parku Tallarda, chciał mi przy tej sposobności złożyć życzenia w imieniu tych instytucji, wytłumaczyłem mu jednak, że ja, zwłaszcza w roku ubiegłym, a specjalnie w rozpoczynającym się, nie miałem i nie będę miał z niemi żadnej styczności ze względu na coraz cięższe czasy i przymusową głódówkę. Wskazałem mu natomiast dwu mnych przyjaciół, którzy w ubiegłym roku odbyli kurację marynbadzką tu na miejscu, wobec czego usług, zwłaszcza tallardowskich, więcej niż ja potrzebowali, nie poskąpią też z pewnością noworocznej gratyfikacji, już zresztą choćby tylko z tego powodu, że obaj są ludźmi zasobnymi. Aptekarz i adwokat, to nie chudy literat, który sam wzięłby chętnie, gdyby mu ktoś cośkolwiek dać był skłonny w npominku.

Stróż mój, jako że to z niejednego już pieca chleb jadał i czytuje nawet gazety i kalendarze, wdał się, rzecz prosta, w pogawędkę o polityce, wojnie i pokoju. Pokazało się, że podobnie jak ja jest zdeklarowanym pacyfistą i, o ile nie wpłynęłoby to znowu na przesunięcie „szpery“ na dziesiątą, nie miałby w zasadzie nic przeciw temu, gdyby pokój nawet i dziś zawarto. Tego samego zdania jest i pani stróżowa, ona znow z racyi wojennych ogonków, które jej już bokiem wylaża.

Na wypadek, gdyby mnie miano powołać do świadczeń wojennych z miotłą w rękę i przeznaczono do odmiatania śniegu z przed kamieniec, w której mieszkam, prosiłem pana dozorcę o łaskawe względy. Przyrzekł, że o tem nie zapomni, oświadczył jednak, że odnośne rozporządzenie magistratu o uprzątnięciu śniegu i lodu nie zostało jeszcze ogłoszone, pojawi się zaś dopiero w czerwcu lub lipcu, to jest wtedy, gdy już ani lodu ani śniegu nie będzie.

Przekonałem się przy tej sposobności, że nie są mu obce i sprawy polityki miejskiej. Jako prawdziwy krakowski demokrat ubolewał bardzo nad słabością ekszellencyi pana prezydenta, oraz nad ustąpieniem

pana Bazesa z komisji dla wymiaru podatku osobistodochodowego. Z obu tymi panami zna się z czasu wyborów, wyraził też obawę, że źle może być ze stronnictwem pozbawionem odrazu aż dwu tak potężnych filarów. Przyznałem mu zupełną rację i pocieszyłem go, że pan prezydent wróci do zdrowia a pan Bazes do komisji, która bez niego nie dałaby sobie rady.

Z listonoszem rozmawiałem naturalnie o sprawach pocztowych. On narzekał na przeciążenie pracą, ja na wadliwe funkcjonowanie aparatu pocztowego. Rok cały czekam na jaki czeł lub przekaz i ani rusz się go doczekać. Wytłumaczył mi, że powodem tego opóźnienia może być bardzo łatwo bierny opór urzędników, zajętych w oddziale czekowym Pocztovej Kasy Oszczędności.

Podoba mi się energia tych pań, npominających się o to, co się im należy, ale zaraz przyszło mi na myśl, że to nie zawsze jest wskazane, by niewiasta była zbyt energiczna, specjalnie zaś w urzędowaniu. Miał o tem sposobność przekonać się na własnej skórze jeden mój znajomy.

Zgłosił on się w znanej instytucji, gdzie wydaje się pewnego rodzaju legitymację, ale jakie, tego nie powiem. Kto chce, niech się sam domyśli. Ponieważ i tutaj znane są już ogonki, ustawił się i on w ogonku i miał to szczęście, że zolał się na samym jego końcu. Miał też i sposobność przysłuchiwać się, jak panie urzędniczeki traktują publiczność, bez względu na wiek, zawód itd. Słyszał więc tylko pytania wystosowane stale w osobie trzeciej, w tym guście: „Jak się nazywa?“ „Gdzie mieszka?“ „Ludziska, mający dzięki wojnie dość grubą skórę, znosili to z poddać się swemu losowi, w mym znajomym siedzi przecież rogata dusza, choć w spokojnie na oko wyglądającym futerał.“

Gdy przyszła nań kolej, a był w szeregu, jak wyżej zaznaczyłem, ostatni, podał też swą legitymację, ominęło go więc zapytanie o nazwisko, usłyszał natomiast z nadobnych, podobno nawet koralowych usteczek te słowa:

— Gdzie mieszka?

— Niby kto?... — rzekł, ndając zdziwionego i oglądając się poza siebie.

— A który? — odparła niewiasta z wzrastającą stopniowo energią. — Pan!...

— Bo ja byłem pewny, że pani się pyta o kogo innego, widzę zaś, że prócz mnie, niema już w biurze nikogo... Publiczność zasługuje chyba na to, by ją w inny sposób traktować. Ciekawy jestem, co powiedziałaby pani, gdybym ja się do niej w ten sposób odezwał...

— Ja co innego, pan zaś co innego!... Ja tu jestem urzędniką, a pan tylko stroną!

— Tak!... Ale właśnie ta strona ma prawo żądać, by się z nią obchodzono we właściwy sposób...

— Wypraszam sobie podobne uwagi!... Także coś!...

To rzekłszy, przybrała minę obrażonej królowej, wydeła pogardliwie swe koralowe usteczka i mrugnawszy coś jeszcze pod wcale zgrabnym noskiem, odwróciła się ku oknu, dając w ten sposób poznać, że posłuchanie skończono.

Mój znajomy nie czekał też dłużej, zwłaszcza, że mu się na obiad spieszyło, a miał w tym dniu swą ulubioną potrawę, to jest pierogi z kapustą. Spotkawszy się ze mną użalił się przeciw, a ja przyznałem mu wprawdzie rację, ale równocześnie zwróciłem jego uwagę, że ten wojenny surogat urzędniczy w spódniczkach, to bardzo drażliwe istotki. Każda z nich, to kuzynka lub protegowana jakiegoś pana radcy, nie też dziwnego, że bliźniego, o ile on jest tak zwaną urzędową „stroną“, nie uważa nawet za psie posycie. Naczelnik biura jest wobec swej podwładnej bezradny, jeśli jej bowiem wytknie niewłaściwe postępowanie panienka się rozplacze i poskarży „wujciewi“, a ten nie omieszka się zrewanżować przy sposobności awansu lub czegoś podobnego. Na tym punkcie mogą sobie śmiało podać rękę wszystkie nasze instytucje.

Skoro już uprząłem sobie nieco zółci, co mi może tylko wyjść na zdrowie, wracam do sprawozdania z dnia noworocznego, by raz już tę sprawę zakończyć. Sam nigdzie z życzeniami się nie wybrałem, odwiedziłem tylko mego gospodarza, by mu wręczyć czyny i przypatrzeć się jego smutnej minie, że dzięki wojnie nie może mi komornego „wyjątkowo tylko w tym kwartale...“ podwyższyć. Podobne słowa słyszałem dawniej przynajmniej trzy razy w roku. Tyle bodaj z wojny dobrego, że choć w tym kierunku ma się jaki taki spokój. Z tego powodu kłął też na wojnę i życzył, aby ten z piekła nie wylaź, kto ją wywołał, z drugiej zaś strony dopytywał się skwapliwie, czy przypadkiem nie grozi na seryo niebezpieczeństwo pokuju, co mogłoby niekorzystnie wpłynąć na jego interesy. Pocieszyłem go, że rokowania w Brześciu Litewskim zerwane i widziałem, że swobodniej odetchną.